

665EW

KULTURA { TEATR }



Sylwia
Krasnodebska
SZEFE DZIAŁU KULTURA
albicla.com/SylwiaKrasnodebska

ILE ŻYDA W ŻYDZIE

JEDEN TYTUŁ, DWIE PREMIERY

Teatr Powszechny w Łodzi i Teatr Współczesny w Warszawie wystawiają spektakl „Kto chce być Żydem?” Marka Modzelewskiego. Analiza porównawcza obu przedstawień dotyka sedna problemu – o przyprawianiu „antysemickiej gęby Polakom” lub stawianiu ich na piedestale decydują subtelności. Choć twórcy bazują na tym samym tekście i wiernie go odgrywają, wydźwięki obu spektakli są różne. Wszystko rozgrywa się na płaszczyźnie niuansów. To też uświadamia, jakim polem minowym jest wciąż temat polsko-żydowskich relacji.

Lódzki spektakl to debiut reżyserski Jacka Braciaka. A jego „Kto chce być Żydem?” to jeden z najlepszych spektakli w historii współczesnego teatru sięgający tematu polsko-żydowskich relacji i jeden z naj-

mocniejszych tytułów tego sezonu w kraju. Tak dobry spektakl zdarza się raz na tysiąc.

Relacje między bohaterami zawarte są w pozornie nic nieznaczących drobiazgach. Karol (Marek Kasprzyk) otwiera okno,

przy którym stoi Eliza (Beata Ziejka) z papierosem. Taka scena potrafi powiedzieć więcej o relacji małżeńskiej niż długie odgrywane rozmowy. Najmocniejsze słowa, będące wstrząsającym światem bohaterów i punktem zwrotnym, Eliza wypowiada,



BRACIAK WYGRYWA

Nie jest to spektakl ani prożydowski, ani propolski, ani antysemitowski, ani antynarodowy. Jackowi Braciakowi udało się wyjść daleko poza ten płaski schemat opowiadania.

stojąc tyłem do widowni. Nie widzimy jej mimiki. Widzimy reakcję tych, do których mówi. Spektakl Braciaka jest mocny, precyzyjny, ale co najważniejsze – idealnie wyważony.

Eliza postanawia zmienić wyznanie na mojżeszowe. Rozmawia o tym z najbliższymi. Decyzja nie spotyka się z chłodnym przyjęciem. Judaizm budzi różne skojarzenia. Bohaterowie, jak bardzo niezależnie myślący, są wciąż zakładnikami przeszłości. Interpretacja Braciaka jest jedynie słuszna. Potocznie można powiedzieć „na dwie nóżki”. Bohaterowie przywołują i bohaterskie, i nieludzkie

postawy przodków. Choć emocje sięgają zenitu, nie ma prostej odpowiedzi ani jaskrawej tendencji. Jest płaszczyzna do rozważań, a każdy traktowany jest poważnie i na równych prawach. Nie jest to spektakl ani prożydowski, ani propolski, ani antysemitowski, ani antynarodowy. Jackowi Braciakowi udało się wyjść daleko poza ten płaski schemat opowiadania o problemie. Jest to opowieść o bolesnej przeszłości. Wojnie, która przeorała ziemię, serca i umysły, a trauma będzie kładła się cieniem na kolejne pokolenia. I dobrze, bo śmierci i okrucieństwa nie da się zamknąć w podręczniku historii. Przeżywanie dramatów przodków jest wpisane w człowieczeństwo nas współczesnych. Jak jednak iść przez życie dalej, gdy dłonie dziadków ubrudzone były krwią? Jak budować relacje, gdy wielu prowadzi swoją prywatną politykę bez szacunku dla ofiar, grając jedynie na krzywdach z przeszłości? Komu co się należy?

Czy dojrzelismy do tego, by mówić o zadośćuczynieniach? Jak ważna jest wiedza i świadomość tego, kto jest katem, a kto ofiarą? Najprostsze ustalenie zdaje się być iskrą zapalną prowadzącą do wciąż nierozstrzygniętych sporów. Finał spektaklu jest tu kluczowy. Karol chce mocnego odcięcia się od przeszłości. Proponuje, by wynieść z domu symbole niegodnie wykorzystane niegdyś do podgrzewania sporów – obraz Matki Bożej i menorę – żydowski świecznik. Eliza, która jest w centrum tego scenicznego świata, chce wierzyć, że jest miejsce i szacunek i dla jednego, i dla drugiego. Wie, że tylko uczciwe stawienie czoła traumom może przynieść ukojenie i pozwoli dalej żyć. Dojrzałość reżysera przynosi dzieło rozważne i kompletne. Wszystko zdaje się być bliskie i prawdziwe, jak zapach kawy, którą piją na scenie bohaterowie spektaklu.

Przedstawienie warszawskie w reżyserii Wojciecha Malajkata błyska aktorskimi talentami. Barbara Wypych w roli dyletantki Ilonki kupuje widownię. Spór między Elizą (Iza Kuna) a Karolem

(Andrzej Zieliński), choć ubrany dokładnie w te same słowa, ma zupełnie inną, bardziej nieprzyjazną temperaturę. Kluczową postacią stanowiącą o rozdźwięku między Łodzią a Warszawą jest tu brat Elizy – Marek (Cezary Łukasiewicz). To on w tekście Modzelewskiego reprezentuje nieufność do Żydów. Tylko u Malajkata jest on podłym antysemitą i zwyrodnialcem, a u Braciaka człowiekiem, który mimo że jest przestępcą, w temacie przeszłości ma również swoje racje. I tu ogniskuje się konflikt nie tylko między tymi spektaklami, ale i spór na szerszym, lokalnym, krajowym i międzynarodowym polu.

Porównanie obu spektakli jak na dłoni pokazuje, że o międzypokoleniowych relacjach polsko-żydowskich tak kiedyś, jak i dziś, mogą decydować nie tylko głośne deklaracje na szczytach, ale i podszczypty w rozmowach przy stole.

Malajkat dokłada w swoim przedstawieniu scenę, której nie ma u Braciaka. To opowieść o szantażu między dwoma bohaterami. Jeden wie o romansie drugiego, ten drugi z kolei może zaszkodzić temu pierwszemu w jego rozprawie rozwodowej. Obaj są równie nieuczciwi i wyrachowani. Ten zabieg u Malajkata z jednej strony tylko

ugruntowuje obraz hipokryzji bohaterów, ale z drugiej – banalizuje całą opowieść, sprowadzając ją do drobnych pojedynków podwórkowych. Postać wysokiej klasy aktorki Izy Kuny ginie w chaosie i wrzasku innych bohaterów. Emocje wymykają się spod kontroli, a tak „skonstruowany” Marek decyduje o jednoznacznym wydźwięku spektaklu, któremu blisko do wytartego hasła o polskim antysemityzmie. Widownia czarowana komediowymi scenami żenująco śmieje się ze scen przemocy domowej. Szanse na głębokie refleksje maleją, zostają hasła, które już znamy i które nie rozwiązują problemów. „Trzeba się umieć z siebie śmiać” – mówią bohaterowie obu spektakli. To śmiech przez łzy. Ale tym w Łodzi bliżej do szczerości.

GP